

WŁASNYMI SIŁAMI

MIESIĘCZNIK DLA KOBIETY KATOLICKIEJ

Lipiec 1939

Tarnów

Rok IV, Nr 7

Maria Dmochowska

ŚWIĘTA ROCZNICA.

Rok 1920... U stóp Jasnogórskiej Pani w Jej święto Wniebowzięcia modlą się gorąco rzesze pątnicze... „Święty Boże... Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie!“ modli się lud wierny i błaganie swym mury jasnogórskiego klasztoru przebija... A oblicze Najświętszej Pani spokojnie z obrazu ku wiernym ogląda i zda się mówić: „Bądźcie spokojni! Jam Królowa Wasza i Orędowniczka u Pana!“

W stolicy — w sercu dopiero co Zmarłychwstałej Polski — niepokój, trwoga... nieprzyjaciel tak szybko ku murcom się zbliża... Na froncie tysiące żołnierzy armii regularnej i armii ochotniczej ze znużenia zda się padać, ale oni wiedzą, że jest dla nich tylko albo zwyciężyć albo zginąć — to też dobywają sił i oto między innymi garska ochotników na czele z Księdzem Skorupką znowu ku liniom nieprzyjacielskim podąża... a Krzyż ich wiedzie...

Obok tych żołnierzy walczących o Polskę, o Jej wolność, jest druga armia modlących się o zwycięstwo i na czele tej armii stoi Nuncjusz Apostolski Ks. Achilles Ratti... Modli się i ufa w miłosierdzie Boże i w Opiekę Maryi... To też Święto Wniebowzięcia przepędza on na klęczkach.

„Cud... cud... cud...“ — rozlega się radosne wołanie żołnierzy. — „Nieprzyjaciel się cofa! Jakaś cudowna moc nad bolszewikiem górę wzięła“. — I oto radosne wołanie od murów Warszawy poprzez całą Polskę leci. „Cud nad Wisłą“ — oto przyczyna powszechnej radości... Odechnęły strwożone serca matczyne, zbolale serca żon i dzieci... wszystko do Matki Najświętszej śle swe dziękczynienie, a u stóp Jej obrazu modlą się miliony serc wiernego ludu...

Świętą rocznicę „Cudu nad Wisłą“ przeżywamy poraz dziewiętnasty — teraz — właśnie teraz, gdy nowy wróg wolności naszej zagraża, gdy odepchnąć chce nas od morza, gdy chciałby zagrabić to — co od wieków jest nasze i po wieki naszym pozostać musi... i pozostanie!

I w tych chwilach ciężkich, w chwilach wojennej grozy, choć silni i zvarci jesteśmy, choć gotowi jesteśmy życie oddać dla Ojczyzny, mienie poświęcić, trudu nie szczędzić... klękniemy, my Kobiety Polki, wraz z dziećmi i domownikami naszymi, klękniemy przed obrazem Najświętszej Pani Częstochowskiej i błagamy Ją o cud pokoju, o cud zwycięstwa... Stwórzmy już dziś armię modlących się serc polskich, która towarzyszyć musi zawsze — a dziś specjalnie — tej wielkiej armii polskich żołnierzy, bo dopiero wtedy stają się polskie siły zbrojne niezwyciężone i zwycięskie.

„Królowo Korony Polskiej! Królowo Pokoju! O Pani Jasnogórska — módl się, módl się za nami!“ — niech usta nasze szepczą dzień i noc i w chwilach pracy i w chwilach spoczynku, niech od modlitwy tej błagalnej nie będzie wytchnienia, a wierzymy, wierzymy, że to potężne wołanie przebije niebiosy i nad wolną, niepodległą, mocarną Polską niebo wyjaśni się uśmiechem złotistego słońca pokoju i błękitem czystym spokojnej a twórczej wolności...

Tylko chcijmy wytrwale — nieustannie — cierpliwie — sercem gorącym ku Marii — Matce naszej — wołać: „Królowo Korony Polskiej! Królowo Pokoju! O, Pani Jasnogórska — módl się za nami! nie opuszczaj nas! przyczyn się za wiernym polskim narodem!“

Or-Ot.

Cud nad Wisłą.

Od wschodu ciągnie tłuszcza, ponura i dzika,
Baty wodzów tłumami pędzą niewolnika.
Chińczyk obok Tatara, Moskal przy Jakucie,
Grzmią bębny, ryczą trąby o chrapliwej nucie.

Chciwe to krwi i łupu, jak żbik chciwe,
Podstępne jak hiena, jak tygrys straszliwe,
I już wraskiem triumfu podła dzicz szaleje,
Ze Polskę krwią i jadem i błotem zaleje.

A Polska, gdy się nad nią rozpętała wojna,
Czeka na ciosy wroga, dumna i spokojna.
Szary żołnierz strudzony, walką i pochodem,
Ze broni Europy — wie z całym narodem!

Czuje, że ma dwie drogi: zginąć lub zwyciężyć,
Ze musi wszystkie siły jak olbrzym wyczerzyć,
By Ojczyznę, co z gruzów wstała tak niedawno,
Uczynić znów bohaterską, potężną i sławną.

Nad szeregami wojska łopocą sztandary,
Spójrz na nie: od nich bije złote słońce wiary.
Biały ptak rozpiął skrzydła i w błękitny wzłata,
On był zawsze wśród bojów o swobodę świata!

On nigdy biel skrzydeł nie splamił złym czynem,

A tych, co szli w bój taki, uwieńczył wawrzynem.
Z krańca w kraniec Europy niósł wolność i męstwo,
Za nim wróg pokonany, a przed nim zwycięstwo.

Barbarzyńca już zalał i miasta i siola,
Gdzie spojrzeć krew się leje, pożary dokoła...
Pod ciężką stopą hordy ziemia się ugina,
Polami kroczy mara ponura i sina.

Straszliwe widmo wojny, pożogi i głodu
I zda się, że już koniec polskiego narodu.
Ze dzicz go weźmie na stryk krwawą ręką kąta
I runie na Europę zabić wolność świata.

Wróg stanął pod Warszawą: nocą jak majaki...
Jak biesy, na przedmieściach wpadają Kozaki.
Wrzasną: urra! i znikną... działa grzmią... to wojna!
Lecz stolica nie zadrży... ona jest spokojna!

Kipi w niej krew powstańców: bujna, staroświecka,
I wie każdy: od starca do małego dziecka,
Ze przejdziemy zwycięsko owy bój śmiertelny,
I że czuwa nad Polską Bóg i Wódz Naczelny!...

Wódz Naczelny. Samotny i w sobie skupiony —
Zatopił oczy orle w Polski wszystkie strony.

Widzi ją całą: całą w sercu i w myśli,
Jak orzeł buja w górze i plan górny kreśli.

Już wie, już tylko skoczyć jak lew! jak grom runąć!
Zmiażdżyć wroga, na wieki od granic odsunąć...
I błysnąć narodom Polski potęgą straszliwą
I znów ją ujrzyć wielką, wolną i szczęśliwą.

Żołnierz za swoim Wodzem skacze w bój jak w taniec.
Z uśmiechem na zionący śmiercią skacze szaniec.
Wpół dzieci, prawie starcy rwą się z męstwem szalonym
I giną z okrzykiem: Wolność bohaterów zgonem!!

I nad wsiami, miastami, nad zamkiem Warszawy
Wstaje słońce płomiennie, wiekuiestej sławy.
O Polsko! Jaki triumf, jakież Twe zasługi!
Swobodę ludów świata ocalasz raz drugi!!
Jak niegdyś, gdy pod Wiedniem od Twej szablki
młyńca
Padł w proch srogi pohaniec, teraz gorszy barba-
rzyńca
Przed Tobą umknął, krawiąc stopy
I już nigdy, ni Tobie, ni ludom Europy
Nie zagrozi zagładą wszystkiego, co wzniosłe...
Święć kwiaty na mogiłach poległych wyrosł!

Teresa Szyrajew.

P A T N I K

(Legenda przepisana).

Zestarzał się stary ojciec — ojciec — ojciec. Prawie już cały wiek dźwiga na pochylonym grzbiecie. Kiedyś — ano, kiedyś — był żeń i wojak tegi i chłop naschwał. — A dziś? Ot, dziadyga, i tyle. Pod pierzyną, albo przy piecu kości wygrzewa i ledwie zipie. Trzech ma synów, więc pewnego dnia woła starowina najstarszego syna i mówi: „Słuchajno synku — kiedy się tak z boku na bok na łożu przewracam i o przeszłości dumam, przypominam mi się, jakem to kiedyś podczas bitwy — w okrutnym niebezpieczeństwie Bogu ślubowałem, że gdy mię zachowa, to do Rzymu pójdę Mu za to podziękować — no — jakoby pątnik. Stary jestem i niedołężny jestem — wyręcz ty mnie — idź do świętego miasta — idź synku — bo ciężko człowiekowi umierać, gdy Bogu obietnicy nie dotrzymał”. Zachnął się dryblas: „Ot banialuki!” — rzecze, „też to sobie ojciec klina zabił z tą pielgrzymką do Rzymu... Ja do Rzymu? — Ha, ha, ha! i gdzie jeszcze? — Niech se ojciec je — pije, pod pierzynką się grzeje i... i... ojczenaszki klepie. Ani mi się śni do Rzymu w popiechoty wędrować”.

Zmartwił się stary ojciec, ale woła ku sobie drugiego synalika — średniego i grzecznie powiada: — „Słuchaj synusiu — myślę i myślę i wspominał sobie dawne lata, jak to kiedyś, gdy kula koło uszu mi gwizdała, obiecałem Bogu, że do Rzymu na piechty pójdę — a no — aby podziękować że mnie Bóg ocalił, gdy inni towarzysze moi, jak muchy zatrute wokół mnie padali — tyś młody — idź synku, ty za mnie ślub wypełnić”.

„Co?” — oburzył się syn średni — ojcowe gadanie nie w smaku mu było, więc młokos mędrkować poczyna: „Wiosna za pasem, dnie ciepłe i pogodnie witają — a ojciec po świecie gnać mnie zamyslił. Ciel!... ciel!... co znowu? — to to, to nie. Do orki brać mi się trzeba — do kośby na łąki. Starszy barany i owce pogna na połominy — a ten młody smarkaty, mleko ma pod nosem. Kto pola dogładnie? — Nie, nic z tego — wyperswadujcie se to z głowy tatusiu. Jedzcie se spokojnie, pijcie, pod pierzyną się pięknie wygrzewajcie — poziewajcie se miło, ale nam dajcie spokój”!

Jeszcze więcej posmutniał staruszek, ale nie traci nadziei — woła tego najmłodszego i słodko mu prawi: „Synalku mój najmilszy — postuchaj, co ci powiem — choć tu bliżej ku mnie. Ofiarowałem się dawno, bardzo dawno temu, Wszzechmocnemu Bogu z pielgrzymką do świętego Rzymu — ale stary jestem i niedołęga — pójdź ty synusiu, dziecię moje co? he? — Mały jesteś — drobina — nieświadom drogi, do Rzymu daleko, oj daleko, boję się o ciebie okrutnie — ale mam nadzieję w Bogu że ci da opiekę swoją w drodze — no co?”...

Uśmiechnął się chłopiec... „pójdę” — rzekł wesolo! A matka, słysząc to — nuż lamentować pocznie i protestować po babsku: „Nie puszczę dziecka — co? do Rzymu? w obcą drogę i naród — nie puszczę. Czyś ty stary do reszty już zgłupiał — bodajżeś skisł — skąpa ciemnego, całe lata ciągiem stękasz i stękasz sam i jeszcze dziecko niewinne chcesz mi zatracić w świat — na poniewierkę? dziecko ostatnie i koniec”.

„Cichajcie matulu” — przerwał syn najmłodszy: „Ojciec chce — Bóg chce — trzeba mi do drogi — i zaraz”. To mówiąc, ojcu rękę ucałował, wina w bukłak (naczynie skórzane) naczepał, chleb i słoninę do sakwy swej pasterskiej włożył, wzął buciska, kapotę zarzucił na ramię — kostur dębowy na podpórke chwycił — z ojcem, matką i braćmi grzecznie się pożegnał i... poszedł do kościółka by Mszy świętej pobożnie wysłuchać. Już wyszedł, gdy na progu kościoła natknął się na młodzieńca przecudnej urody, który zagadnął pielgrzymka: „Może do Rzymu wybierasz się w drogę?” „A no do Rzymu” — odpowie chłopczyna. — „Jeśli masz ochotę, to pójdziemy razem, bo i ja tam idę”, młodzieniec mu rzecze. Ten piękny młodzieniec, to był anioł z nieba od Boga zesłany. Szli razem we dwoje, weselą się rozmową i śpiewem — po bożym — żywiąc się proszonym chlebem i napojem, dotarli do Rzymu, przed murami tak wielkiego i świętego miasta odpoczęli krzywą, potemu w piotrowej świątyni korzyli się Bogu, dziękowali za szczęśliwe przybycie i ocalenie ojcowe od kul i śmierci wojennej. Zwiedzili bazyliki i święcone krwią męczeńską miejsca i świątynie, całowali relikwie i szczątki prawdziwego Jezusowego Krzyża, a na ostatek ujrżeli papieża, biorąc od niego dla siebie i domu swego rodzinnego błogosławieństwo.

W przeddzień powrotu do kraju, obaj podróżnicy przysiedli sobie na progu piotrowej świątyni. Anioł, jak anioł, zmęczenia nie czuje, ale mały pątnik znużony zwiedzaniem tak wielkiego miasta, u-

snął — we śnie ujrzał matkę swą i braci, strasznym ogniem piekielnym trapiionych, podczas gdy on ze starym ojcem cieszyli się chwałą Bożego, niebieskiego raju. „O mój dobry Boże, zawołał przerażony synek: — jakżebym pragnął wyciągnąć z tego strasznego piekła moją biedną matusię i braci!”...

„Nie synaczku — nie ocalisz braci, bo nie usłuchali mej woli” — Bóg rzecze — „Możebne, że uda ci się ocalić matkę, ale jeno wtedy, gdy jeszcze za życia skłonisz ją do spełnienia trzech miłosiernych uczynków”.

Chłopiec się obudził, ale anioła już przy nim nie było — pytał o niego ludzi, szukał daremno, sam musi wracać do domu. Drogę swą skierował w stronę morskiego wybrzeża, tęczowymi muszlami i złotym listowiem przysłonił swą odzież i powolutku, przez drogi, ścieżyny, doliny i góry dotarł do swej ojczyzny — modląc się głośno i żebrząc pielgrzymiego chleba.

Po wielu, wielu dniach swojej wędrowki, stanął przed ojcowskim progiem — od dwóch lat go nie widział. Zmęczony, chudy, pyłem okryty, bosy, z kosturem w ręku, w podartej odzieży, złocistymi muszlami zdobnej i świętym szkaplerzem, chłopiec we wsi rodzinnej był nie do poznania.

Do drzwi zapukał i pokornie prosi... o jałmużnę. „O rety, rety!” — krzyknie z izby matka: „Skaranie z tymi dziadami — całymi dniami nic nie rób, tylko się opędzaj przed włóczęgami”. — „Pomiarkuj się kobieto”, jęknie z łoża boleści mąż stary — „daj mu cokolwiek, kto wie, czy nasz synek nie jest tam gdzieś w podobnej potrzebie”. Klnąc pod nosem i gderząc, wzięła matka kromkę suchego chleba i podała biedaczynie. Nazajutrz pątnik znowu stanął u progu i cicho prosi: „biedny pątnik gospośiu prosi w imię Boże... o jałmużnę”.

„I jeszcześ tu — huknie rozłoszczona matka — dopieroś wczoraj był i znów dziś — te łaziki zjedzą nas z kretesem”!

— „Cichaj, cichaj kobieto — rzeknie chory ojciec, przecie i ty wczoraj jadłaś i my wszyscy. — Kto wie, czy nasz synek z głodu nie przymiera? — daj mu, daj mu cokolwiek”.

Matka ukroiła kromeczkę i dała...

I znów nazajutrz poraz trzeci stanął pątnik przed domem swych własnych rodziców i... prosi...

— „Łaski — łaski proszę — użyczcie mi gospody — dachu, bym się mógł gdzie przespać, kochana gospośiu, gdzie na noc przytulić”...

— „A tego to zawiele — idź dziadu do przytuliska” wrzaśnie rozgniewana matka.

Ale pocziwy staruszek — chorą głowę z łoża boleści podnosi i rzecze: „Miejże serce niewiasto, nie odmawiaj pątnikowi dachu i kto wie, czy nasz synek nie błąka się gdzie po świecie na deszczu i wietrze?...”

— „A no — niech będzie” — odburknie matka i prowadzi pątnika do... stajenki... gdzie bydło...

Chłopczyna zgarnęła sobie trochę słomy — położył się w pobliżu bydłatek i usnął...

Już dobrze dniało, gdy matka i bracia nadeszli, by otworzyć stajenkę...

Stajenka jaśniała jak słończko złote, a pątnik... ta biała chudzina... na słomie leżał martwy. Od słomy co miał na pościółkę — dziwna jasność smugami, jakoby płonącymi gronnicami nad ciałem się wzniosła — przedziwno misterne — pajęczce — jakby jaką piękną tkaninę nad nim rozpostarło. A owieczki, jagnięta i byczki na kolanach przed śpiącym snem wiecznym straż swą odbywały; wpatrzony w oczami w dziecinę. Dokoła unosił się zapach przesłizny lilii, fiołków i róży.

...W splecionych rączkach małego pątnika złościł się strzęp z napisem: „Jestem waszym synem”. Bracia i matka padli na kolana przed świętym...

Kochajmy dzieci nasze... aby byli z nich ludzie, jakich Polsce potrzeba; ludzie wierni, pracowici, kochający Boga; czy to w świetnych, czy w skromnych usługach nieskałani.

(Myśli Jen. Zamojskiego).

K U Z J E D N O C Z E

Brat Andrzej.



*Ewangelia święta na dziewiątą niedzielę po Zielonych Świątkach, która w bieżącej rozolimą. Wielka to tajemnica — ły Chrystusa Pana! Nie czytamy, aby śmiał się ktoś wiciela. Płakał raz nad Łazarzem; drugi raz nad ojczystym miastem. „Jeruzalem co jest ku pokojowi twemu! A teraz zakryta jest od oczu i...
We łzach Zbawicielowych nad grzesznym miastem przejawiała się najczystsza miłość matki—Polki winny być apostołkami prawdziwej, do bohaterstwa posuniętej miłości*

I. TYDZIEŃ.

Ruina duszy.

Pierwszym powodem płaczu Zbawiciela — to grzech, to ruina duszy, którą widział Zbawiciel w mieszkańcach Jeruzalem.

Bo oto patrzmy! Zguba i groza wojny wisi nad Jeruzolimą, a ona nie pokutuje, nie ufa, nie płacze! Owszem, pieni się i szaleje, nurza się w grzechu i pije kielich zakazanego wesela. Nie ma w niej miłości, nie ma w niej opamiętania, nie ma wzdychań — ale też i nie ma nadziei. Odepchnięty Zbawiciel, wzgardzony, ze łzami woła do niej: „Jeruzalem, Jeruzalem, ileż razy chciałem zgromadzić syny twoje, jako kokosz gromadzi pisklęta pod skrzydła, a nie chciałaś! Oto zostanie ci dom twój spustoszony! Oto przyjdą dnie, i obtoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem i oblegą cię i ścisną cię zewsząd i na ziemię obalą cię i syny twoje, i nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu!”

Straszna zapowiedź i groźba dla miasta i państwa niepokutującego, grzesznego! Jaka to wyraźna nauka dla nas. O matki drogie! Jeśli miłujecie Ojczyznę, prowadźcie w tych groźnych czasach życie czyste i święte, życie pełne zaparcia, pokuty i umartwienia! Do tej powagi życia, do przejęcia się duchem pokuty nakłaniajcie wasze otoczenie! Jeśli dusze obywateli będą zdrowe, jeśli w nich będzie Zbawiciel przez łaskę poświęcającą — natenczas ze spokojem patrzeć będą wszyscy w przyszłość, ufni w pomoc z wysoka.

Słusznie mówi Mickiewicz: „O ile rozszerzycie i u-
mocnicie dusze wasze — o tyle rozszerzycie granice wasze!”

II. TYDZIEŃ.

Lenistwo duchowe.

Powód łez Zbawicielowych przebija jasno ze słów Jego: „Gdybyś i ty poznało, co ku pokojowi jest twemu! A teraz zakryte jest od oczu twoich”.

Lenistwo ducha opanowało mieszkańców Jeruzalem tak, że nie starali się poznać drogi, wiodącej do utrzymania pokoju; grzech sprowadził zaślepienie, a w następstwie zgubę.

Jeruzalem to także nie tylko miasto, nie tylko lud żydowski — to cały rodzaj ludzki, to wielka jego część, która Chrystusa Pana nie przyjęła, która Go od siebie odepchnęła.

Zgubę narodowi żydowskiemu przyniósł grzech i odtrącenie Chrystusa Pana.

Zgubę gotuje sobie i dziś taki naród, który brnie w grzechach i odpycha od siebie Chrystusa Pana, Jego naukę i przykazania.

Matki drogie katolickie! Prawdziwa miłość Ojczyzny domaga się od was dziś, byście nie tylko zerwały z grzechem, ale całym sercem ukochały Chrystusa Pana! Ileż jest takich dusz, które znamionuje dziwna jakaś martwość. Może nie ma w ich życiu większych grzechów, ale jest niepojęte lenistwo duchowe, oziębłość, mierność i przyziemność!

Bóg brzydzi się takimi letnimi duszami. „Obyś był gorący...”

Niechże zatem w tych chwilach tak poważnych dla Ojczyzny naszej rozplomienieje w nas ukochanie Chrystusa Pana, niech życie nasze wewnętrzne znamionuje gorliwość i skwapliwość w spełnianiu Woli Bożej!

Pracujmy też nad innymi! Nad tym, by Chrystus był w Ojczyźnie naszej czczony i wielbiony, by On królował w duszach obywateli, w ich życiu prywatnym i rodzinnym, w całej Ojczyźnie naszej.

Gdy to zadanie urzeczywistnić będziecie, gdy zerwiecie ze zgubnym lenistwem duchowym — bądźcie spokojne o przyszłość narodu i państwa.

Maria Pobóg.

Smutne macierzyństwo

Macierzyństwo dla każdej kobiety uczciwej i Boga kochającej — to radość, to błogosławieństwo, to szczęście niewysławione! — Ale dlaczego ja dziś mówić chcę do Was, Kochane Czytelniczki, o macierzyństwie smutnym... Posłuchajcie:

Na Dolnym Śląsku żyła szczęśliwa, kochająca się rodzina. Rodzice kochając siebie, miłowali też bardzo swe dziatki a już specjalną dumą ich i chlubą była Antosia.

I nagle córka zawiodła ich — załamała się moralnie — to też rodzice z domu ją wyrzucili, wyrzekli się jej. Poszła ze swej wioski, poszła do miasta... przyjęła służbę, ale ją po kilku miesiącach straciła... Nikt nie chciał jej trzymać ze względów ludzkich — zrozumiałych. Zaoszczędzone pieniądze pozwoliły jej czas jakiś przemieszkać kątem u jednej z kobiet, ale i ta prędko się Antosią pozbyła...

Co robić?... gdzie się udać?... kto przyjmie ją nieszczęśliwą dziewczynę? Poszła do Spowiedzi św., u spowiednika szukając ratunku. Doradził jej tylko jedno: powrót do matki, bo ta napewno jej nie wypędzi...

Więc poszła tego jeszcze dnia do wioski rodzinnej — czując się bardzo słaba i tylko myśli o matce sił jej dodawała...

I podeszła późnym wieczorem pod progi ojcowskiego domu. Śnieg z deszczem dokuczał jej srodze, ale tak się wahała, tak nie śmiała zapukać do drzwi tego domu ludzi dobrych i zacnych, których skrzywdziła tak bardzo i tak serca ich zraniła. — Ale w uszach dźwięczą jeszcze słowa spowiednika: „Wróć do matki!” — więc puka drżąca i nieśmiała, taka biedna, upokorzona, dźwigająca brzemie swej winy... Otwierają się drzwi. Snop światła postać jej obejmuje, a z ust przerażonej Kasi, jej siostry, wydobywa się krzyk, jakby śmierć zobaczyła: „Jezus Maria” — słycać tizask zamykanych drzwi, a w izbie z trwożą wypowiedziane słowa Kasi: „Tam Antośka!” Pewnie ręką na drzwi wskazała...

I czeka Antosia z biciem serca na wyrok matczyny i ufa i wierzy... Otwarto drzwi wreszcie, a w nich stała matka i głosem straszonym, pełnym bólu — ale i gniewu rzekła: „Precz mi stąd!” — Gdy ciemność znowu zaległa próg chaty — odeszła Antosia, niewysłuchana, potępiona, bezradna... odeszła...

Mgliste wstało słonko dnia następnego... Smutne jakieś i leniwe, ledwo że przez szare, śnieżne chmury się przedarło.

W izbie Antosinego domu też było smutno... Od wczoraj ciężki kamień bólu serca wszystkich przytłoczył... Jakiś złowieszczy głos błakać się zdawał po chacie, jakiś niepokój wszystkich ogarzał, a biedna surowa matka noc całą przed obrazem Matki Bożej Nieustającej Pomocy spędziła i dopiero nad ranem głowę do poduszki przyłożyła... A rankiem... później niż zwykle wyszła matka Antosi do stajni, robota jej się dziwnie nie kleiła, zamiast wiaderko zabrać ze sobą, zabrała miskę, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni...

Wchodzi do stajni — zamknięte wczoraj wrota, zastaje niedomknięte... Może złodzieje... wzrok trwożny kieruje na krowy: stoją, koń: stoi; podchodzi do zagrody, gdzie świnie zamknięte na noc i o zgrozo: pod dźwiczkami za zagrodą leży Antosia, leży nieżywa, a dalej obok niej niemowlę pogryzione, straszne... Nieszczęśliwa matka — nieprzytomna wybiega ze stajni i straszonym głosem wymawia te słowa: „Jezus Maria! Jezus Maria!”, zataczając się jak pijana... Wybiega ojciec i rodzeństwo, a matka ma tylko tyle siły, by powiedzieć: „Idź, zobacz! Wy zostańcie!” i wraca z dziećmi do chaty.

Utrudzona Antosia, zziębnięta i słaba, miała jeszcze tyle sił, by wejść do stajni i u zwierząt szukać przytulku... Tragedji, jaką przeżyła opisać nie da, ale zrozumieć ją potrafi każde ludzkie czujące serce...

A surowa matka? Zrozumiała zbyt późno, że

nad córką czuwać trzeba przed nieszczęściem, ale gdy padnie ofiarą swej późności, czy głupoty, nie wolno z domu wyrzucać, bo droga jej upadków w ten sposób się nie skończy — przeciwnie już ukarana samym brzemieniem swego grzechu, gotowa popełnić dalsze upadki, a nawet zbrodnie, jeśli matka nie poda jej ręki pomocnej, przewyciężając ból matczynego serca. I jest dziś niedaleko Wrocławia takie gospodarstwo, którego fundatorką była matka nieboszczki Antosi — które ma na celu dać przytułek i możliwość pracy matkom, które nie znajdując oparcia w rodzinie, bo jej nie stworzyły — znajdują opiekę i serce zakonnic, prowadzących ten dom... Zbłąkane dziewczęta tu dopiero widzą swoją winę i wielkość grzechu, który popełniają i względem Boga i względem społeczeństwa, burząc porządek Boży na ziemi ustanowiony... Same nieszczęśliwe, dają społeczeństwu nieszczęśliwe istoty, jakimi są i będą zawsze dzieci, pozbawione rodziny.

Niech to prawdziwe zdarzenie stanie często przed oczami matek i niech będzie dla nich zachętą i bodźcem, by córki swoje od lat najmłodszych czułą otaczały opieką i od wczesnych lat zaprawiały do skromności i poszanowania swej kobiecej godności — a wtedy smutne macierzyństwo nie stanie się nigdy ich udziałem.

Irena Breza

Nad żniwnym łanem.

Lipcowe lato lśni złota czarem
I niebios królewskim błękitem.
Zwyczajem prawiecznym, prastarym —
Już się kosa pochyla nad żytem.

Łan pszenicy złocistym pierścieniem
Obejmuje strudzonych żniwiarzy;
Dumny kłosów dosytnich brzemieniem,
Szumiąc zlekka, o chlebie im gwarzy.

Dzwonią sierpy symfonię lipcową,
W płasach żniwnych igrają pokosy.
Wokół czujesz słodką woń lipową;
Pachnie ziemia i pachną niebiosy.

Milion pszczół ponad tobą przelata
Do tej lipy kwitnącej w ogrodzie.
Stoisz w szczęściu, w samym sercu lata,
Liczysz snopki i myślisz o miodzie.

Nie żal ci potu, co ziemię rosi,
Nie żal trudu, ni znoju,
Twój mąż radośnie srebrne żytko kosi,
Ty wiążesz pełna spokoju.

Bo oto widzisz, jak za twe starania
Pan Bóg cię złotym wynagradza plonem:
Wzięłaś dwie miarki zboża do zasiania
A teraz stoisz przed tych ziarn milionem.

Więc jeszcze żywiej schylasz się nad łanem,
Zwawiej kłos bierzesz do ręki
I całą duszą już klęczysz przed Panem:
Dzięki za pracę i za plony dzięki.

I widzisz teraz, jak Bóg się przybliża
Do swoich stworzeń. Różne znaczą drogi:
Jednych przez trudy, innych przez ból krzyża
Wszystkich przyzywa w swe progi.

Szanuj więc własne łyzy i cierpienia,
Udręk ciała i pot kroplisty,
Bo w takiej drodze — po ostrych kamieniach
Duch się wyzwoli i jak anioł czysty

Sam znajdzie ścieżkę do Pana.
Jeno się naucz żyć sercem i wiarą,
I dołę, co ci przez Boga nadana,
Pić ufnie pełną czarą.

Ach! wszystko do Stwórcy cię przybliża
Łan żniwny, łak szmaragd, błękit nieba,
Wesele życia i smutek krzyża,
Głód przecierpiany i... kęs chleba.

E N I U Z B O G I E M

W bieżącym roku przypada w sierpniu, mówi nam o płaczu Zbawiciela nad miastem Jeruzalem — wołał Chrystus — gdybyś ty poznało i w ten dzień twój, z twoich!

Wszelka miłość Ojczyzny; warto zastanowić się nad tym Jego płaczem w tym momencie, miłości Ojczyzny.

III. TYDZIEŃ.

Samolubstwo.

Ks. Piotr Semenenko, zastanawiając się nad łyzami Zbawiciela z powodu zaślepienia Jeruzalem, woła: „O Jeruzalem, nie ma dla ciebie nadziei, bo nie ma w tobie miłości!! Owe iskierki święte, które ci Bóg był zostawił, tyś zasypała pod popiołami twej własnej miłości i własnej woli, zgasiłaś je do szczytu”.

Nie ma ratunku dla Jeruzalem, bo samolubstwo zgasiło miłość Bożą i miłość bliźniego.

Nieuchronna zguba czeka i dziś taki naród, w którym wszechwładnie panoszy się wygodnictwo, samolubstwo, niechęć do ofiar i wysiłku na rzecz bliźnich i dobra społecznego.

Obywatele nasi przez ofiary na F. O. N. i pożyczkę przeciwniczą zadokumentowali swą wielką miłość Ojczyzny. Ale czy wszyscy spełnili swój obowiązek, czy wszyscy w wystarczającej mierze? Zresztą dzień każdy niesie nowe potrzeby, nowych wymaga ofiar. Są rodziny, których ojcowie, czy synowie stoją w tej chwili pod bronią, by odeprzeć napad wroga. Czyż te rodziny nie muszą ponieść większych ofiar, czyż nie powinni im sąsiedzi ofiarnie dopomóc?

„Wspólna moc tylko zdoła nas ocalić”. Każdy przejaw samolubstwa, wygodnictwa, szukania siebie — dziś budzi węższą niż zwyczajnie odrazę. Bo większych, niż zwyczajnie, domaga się współczesna doba ofiar. Dlatego, matki drogie, członknie Akcji Katolickiej, nie licząc dziś ofiar waszych z grosza, czasu wolnego i trudu osobistego na rzecz bliźnich i Ojczyzny. Ponoście te ofiary jak najczęściej, w cichości i pokorze. Zapalajcie waszym przykładem serca zimne i oschłe. Im więcej będzie przejawów waszej miłości ofiarnej — tym więcej spodziewać się możemy zmiłowania i błogosławieństwa Bożego!

IV. TYDZIEŃ.

Boże pogotowie.

Płacz Chrystusa Pana nad miastem Jerozolimą był przejawem najgłębszej, najczystszej miłości Ojczyzny. Bo i któż płacze? Któż łyzy przelewa? Ten, który kocha. Tylko miłość łyzy przelewa.

Toteż gdy nad grobem Łazarza, na widok nieboszczki, Chrystus zapłakał, wszyscy tam obecni jednogłośnie zawołali: „Patrzenie, jak go miłował”. Miłował zaiste Jezus Łazarza, bo płakał; a tylko miłość płacze.

„O łyzy Chrystusowe — woła ks. Semenenko — świadki miłości nieskończonej, miłości, która trwa nawet po niewdzięczności, wtedy nawet żyje, gdy ją wzgarda i odepchnięcie stokroć już zabiły! O łyzy najświętsze, łyzy błogosławione; wielka, wielka, nieskończona to miłość, która was przelała!”

Jakiż to dla nas przykład ponad miarę wielkiej miłości Ojczyzny. Wypływa ona z przykazania miłości bliźniego, przykazania największego, które opiera się na przykazaniu miłości Boga.

Czasy obecne domagają się od nas wszystkich, by miłość Ojczyzny, z pobudek nadprzyrodzonych wpływająca, zatriumfowała dziś w sercach wszystkich Polaków. Zakorzeni się ona w takich duszach najgłębiej, które wolne będą od grzechu i samolubstwa, które będą przeświecone łaską Chrystusową.

Miłość Ojczyzny nadprzyrodzona winna być ofiarną, ochotną, czujną i trwałą. Ona to stanowić będzie to Boże pogotowie w duszach obywateli w obliczu niebezpieczeństwa. Ona przygotowuje i sprawi — triumf zwycięstwa.

Apostolstwo wielkiej, nadprzyrodzonej miłości Ojczyzny — to pierwszy i najważniejszy obowiązek Matki-Polki, wiernej służki Boga i bliźnich w czasach obecnych!

Czy spełniasz ten obowiązek?

W SŁUŻBIE MIŁOŚCI OJCZYZNY

Marianna P.

Dla Ciebie, Polsko!..

Było to lat 25 temu — akurat ćwierć wieku temu... Młodziutką byłam żoną, gdy mego Janka zabrali Moskale do wojska... Stało się tak nagle to wszystko, że nie zdawałam sobie sprawy z tego, co to oznacza: zabrali go! — to jedno doskonale pamiętam, a potem pustka, cisza, samotność i długie czekanie....

Zabrali go do tej zniechęconej armii rosyjskiej, „sołdatem” zrobili jego — mego Janka. — W sercu rozdzielił się bunt i wtedy dopiero poczułam całą groźbę rozbiórów Polski. Polacy w trzech zaborach — w trzech cudzoziemskich armiach — i to w armiach walczących przeciwko sobie... Czy jakiś inny naród mógł odczuć tragedię Polaków, którzy mieli walczyć ze sobą — brat z bratem, Polak z Polakiem, za cara czy za cesarza.

I po czterech latach wrócił Janek do domu, wrócił wynędzniały, smutny, przygaszony, bo okropności wojny serce jego zatręły — stał się innym człowiekiem... Powoli jednak powracał do siebie i często powtarzał: „Strasznie było, strasznie! Jakie to szczęście, że wy, niewiasty, nie musiałyście tego przechodzić! A te, które takie rzeczy przeżyły musiały — popadają wcześniej czy później w chorobę nerwową... Ale dobrze, że to przeszło... że już może nigdy nie wrócił!”

Z radością powitał Janek syna, na którego czekał parę lat — od czasu ślubu upłynęło sześć lat — i oto dzieje się z nim coś dziwnego, ciągle powtarza, huśtając swego pierworodnego na rękach: „Jurek będzie polskim żołnierzem, prawda?” — i całuje go i cieszy się tym bardzo... Nie mogłam wytrzymać, w końcu powiedziałam: „Dlaczego to, Janku, pragniesz, aby Jurek był żołnierzem, przecież wspomnienie wojny jest straszne dla Ciebie?” — „O, tak, moja droga, wojna jest straszna — to prawda, ale groźbę jej powiększał we mnie fakt, że po obcych ziemiach się tłuc musiałem, że w wojsku wrogów Polski musiałem służyć i wrogiem życie w ofierze oddawać wtedy, gdy się Polska w sercu każdego Polaka rodziła do nowego bytu!.. Moja droga, wi-

dziś, ja dziś doceniam, co to jest wojsko polskie, co to jest bronić Ojczyzny, co to jest moc dla niej życie poświęcić... i dlatego tak bym chciał, by syn mój pierworodny te uczucia żywił dla wojska polskiego i by je kochał od kolebki... Czy ty mnie rozumiesz?” — „Tak, dziękuję ci za naukę — mówiłam powoli — bo z obawą myślałam o tym, że gdy Jurek dorośnie, będzie musiał iść do wojska, a może na wojnę i serce z bólu truchlało we mnie na tę myśl, bo rozstanie z tobą było przecież tak straszne...” — „Moja kochana, pamiętać musimy o jednym, wychowując nasze dzieci, że chowamy je dla Boga i Ojczyzny, a nie dla siebie, ani też dla ich wyłącznego szczęścia, bo nie może być szczęśliwym samolub... A więc nie będziemy samolubami, prawda? — i samolubów nie wychowamy?”

Minęło lat osiemnaście... Jurek zdał maturę i oświadczył mi, że chce iść do służby lotniczej, chce być lotnikiem, aby bronić Polski przed Niemcami, chce być wielkim żołnierzem i gdy to piszę, jest już w pułku lotniczym i ma pójść do podchorążówki... Żegnał się ze mną: „Matusi, żyjemy w chwilach wielkiego niebezpieczeństwa — w razie wybuchu wojny zgłaszam się jako ochotnik. Może się już nie zobaczymy — jestem na wszystko gotów... Tylko Wy się nie martwcie — o modlitwę Was proszę, bo to najpewniejsze i najlepsze, co mi jeszcze dać możecie... Cieszę się, że nie płaczecie, jak inne matki, dumny jestem z Was”...

I pojechał... A ja, choć lat osiemnaście na tę chwilę pożegnania się gotowałam — odczułam ten jego odjazd boleśnie, ale nie płakałam... i mimo wszystko czułam się szczęśliwa, że takiego syna pomógł mi mój Janek wychować... Nie doczekał się ojciec tej chwili, bo go Pan Bóg wcześniej do siebie powołał, ale pewnie tam z nieba widział, gdy przed jego mogiłą stanął Jurek na baczność i powiedział: „Tatusiu, idę służyć Polsce jako Jej żołnierz! Spełniam twoje pragnienie — a moje marzenie”!

Po odjeździe Jurka często zachodzę na cmentarz, aby z nieboszczykiem mężem o naszym synu pogwarzyć... Młodszą gromadkę — a mam ich jeszcze czworo — zabieram ze sobą... I kiedy w nie-

działę ubiegłą tak z moimi z cmentarza ku domowi podążam, spotykam sąsiadkę zalaną łzami, która woła do mnie: „Zabrali go!” — „Kogo?” — pytam. — „A no, Józka! Zabrali go!” — powiada spłakana kobieta. — „Jakże go zabrali, kto go zabrał?” — pytam dalej. — „No, przyszło wezwanie, że ma pójść na ćwiczenia wojskowe”. — „Pewnie sam zaraz pojechał?” — ciągnę dalej. — „Sam pojechał z innymi chłopakami” — tłumaczy mi. — „Więc widzieliście... nikt go nie zabrał, bo tylko do więzienia siłą zabierają, no i za dawnych czasów niewoli też siłą naszych do wojska brali... ale dziś... każdy wolny i szanujący się obywatel sam do wojska idzie, do wojska polskiego przecież... Wzięli go na ćwiczenia, a wojny nie ma, może i nie będzie, po co się z góry martwić”... — Słucha moja sąsiadka, słucha coraz pilniej, a wreszcie dodaje: „Tak wam się widzi, że to nic, a któż będzie teraz robił — pracy w polu dużo — mój za stary, a z dziewcząt to tak dużo pożytku nie ma” — stara się usprawiedliwiać. „Oj, Marcysiu — powiadam — wstydz się. Popatrz, ja wdowa jestem, dzieci jeszcze małe, a najstarszy też w wojsku, a nie biadole, tylko do roboty się biorę i wiem, że mi sąsiedzi pomogą, jak sama robocie podołać nie będę mogła. Więc i wy nie lamentujcie, wszystkich do roboty zajmijcie, bo dziewczętom dziś próżnować nie przystoi, a zobaczycie, że ani nie zauważycie, że Józka poszedł do wojska”. Popatrzyła Marcysia na mnie, zawstydzona się i w końcu zapytała: „A kto ci tyle rozumu dał?” — A ja śmiejąc się mówię: „Widać P. Bóg!” — ale poważnie dodaję: „Mój nieboszczyk nauczył mnie jedno powtarzać: „Dla Ciebie, Polsko!” — i to powtarzając często — co dzień — tak się nauczyłam: wszystko ochotnie przyjmować, że cieszę się bardzo, jeśli tylko mogę ponieść jakiś trud dla Ojczyzny”!

Rozeszliśmy się wkrótce — ona zamyślona, ja radosna, a mój mały Janek, najmłodszy ośmiolatek, gdy wchodziliśmy do obejścia, wyciągnął do mnie rękę i zawołał dziecięcym szczebiotem: „Dla Ciebie, Polsko, ja chcę być żołnierzem, dobrze mam?” Chwyliłam na rękę swego małego i szczęśliwa raz jeszcze powiedziałam: „Dla Ciebie, Polsko”!

Chwila bieżąca...

Ukochane Czytelniczki! Poważna sytuacja polityczna naszego kraju trwa! Wysiłki całego społeczeństwa ustać nie mogą, ale przeciwnie — muszą się powiększyć, a my — kobiety Polki — musimy przede wszystkim być przykładem miłości Ojczyzny i swym czułym sercem kobiecym objąć Jej potrzeby i troski, zaradzić im i zaspokoić je. Dlatego też musimy spełnić szereg zadań nie cierpiących zwłoki.

1. Przejść kurs informacyjny, urządzany przez nasze Oddziały w każdej wiosce i to w trzy niedziele z rzędu: 30 lipca, 6 i 13 sierpnia b. r. Na kurs taki uczęszczać pilnie, nie opuszczając ani jednej godziny, gdyż każda z Członkiń zostanie zapisana, a lista sprawdzona, aby można było otrzymać zaświadczenie z przesłuchania kursu. Każda kobieta w Polsce musi mieć kartę rejestracyjną, w której będzie poświadczenie, czy odbyła przygotowanie do obrony kraju, a ponadto część kobiet będzie się musiała zdecydować, że na terenie swej wsi na wypadek wojny podejmie się specjalnej pracy. (Kurs informacyjny o tym każdą pouczy).

2. Ponieważ sytuacja jest poważna — o czym wspomniane było powyżej — w specjalny sposób ze specjalną karnością i gorliwością muszą obywatelki przestrzegać zarządzeń władz państwowych i samorządowych. Uczuć tej karność, tej gorliwości muszą Członkinie KSK. siebie samych, swoich najbliższych i swoje otoczenie. — Pamiętajmy o tej postawie żołnierskiej, którą trzeba zachować w chwili, gdy się otrzymuje polecenie, a jest nią jedno słowo: „Rozkaz”. Nie znamy celu rozkazu i jego intencji, dlatego nie możemy mówić, czy powinien być wydany w ogóle, krytykować, czy w tej czy innej formie ma być wydany — mamy go spełnić, to jest nasz obowiązek. Inaczej utrudnimy działanie władz i szkodzimy sami sobie przede wszystkim.

3. Praca przygotowania się na wypadek wojny nie może powodować zastoju naszej pracy organizacyjnej. To — co my robimy, to — nad czym my pracujemy, to — czego my od siebie samych żądamy, jest sprawą dla obronności państwa niesłychanie ważną i istotnie najważniejszą, jeśli zważy-

my, że postawa moralna i wartość moralna jednostek decydująca ma wpływ na kształtowanie się stosunków politycznych państwa i na jego siłę obronną. Wyteżyć więc nam trzeba pracę nad sobą, aby być opanowaną, spokojną, zrównoważoną, aby być silną dla innych, nieść im pokój, uczyć odwagi i dawać przykład męstwa. A kto zna tajemne źródło tych sił duchowych, na jakie same musimy się zdobyć i innym je przekazać — to wie, że tym źródłem to wiara w Opatrzność Bożą, to szukanie w każdej rzeczy i sprawie Woli Bożej, to czerpanie sił nadprzyrodzonych u źródeł łaski — w Eucharystii. My — Członkinie KSK. — mamy żyć życiem wiary i takiego życia z wiary nauczyć inne kobiety, zwłaszcza w chwilach dla nich ciężkich, jak również wtedy, gdy nas pytać będą, skąd my bierzemy moc, odporność i siłę wytrwania, ukażemy wtedy to źródło i nauczmy z niego duchowe siły czerpać. Praca nasza organizacyjna właśnie uczy nas tego życia z wiary i tego życia wiarą — dlatego nie wolno jej przerywać, ani lekceważyć, czy zaniedbywać, przeciwnie — starajmy się, by ona nam jak najwięcej dawała i czerpmy z niej te wartości, których świat dzisiejszy nie da, bo ich nie ma.

4. Postawę moralną społeczeństwa osłabić i zachwiać stara się zawsze nieprzyjaciel. Dużo się dziś mówi o „wojnie nerwów”, którą nam wypowiedział Hitler. Na czym ona — ta wojna nerwów — polega? Otóż Niemcy starają się przez swoich płatnych szpiegów i propagatorów wywołać w kraju naszym panikę przez to, że ci nastąpi ludzie osłabiają powagę naszych władz, a wychwalają potęgę władz niemieckich, wmawiają w nas, że jesteśmy słabo lub wcale do wojny nieprzygotowani, że to Niemcy są tak wyposażeni we wszystko, że trudno nam będzie z nimi walczyć, — dalej rozpowiadają, że Niemcy nie chcą wojny, tylko przeciwnie — nasz rząd, bo chce zguby naszego kraju, albo że u nas ministrowie są ukrytymi zdrajcami i tym podobne fałszywe, byle tylko nas zachwiać, byle zaufanie do rządu obalić, byle wywołać lęk i bojaźń. — Dlatego musimy ludzi, którzy te i tym podobne bajki rozsiewają i bezmyślnie powtarzają, od razu z miejsca zbić z tropu i powiedzieć, że takim wersjom fałszywym żaden dobry i rozumny obywatel nie może dać wiary i nie wolno mu tego dalej powtarzać,

przeciwnie — winien stwierdzać, że już nasze władze wiedzą, co mają i jak mają działać. Kobiety zwłaszcza, które lubią sobie te tajemnicze wiadomości powtarzać, muszą gadulstwa się oduczyć i pamiętać, że dziś za każde nieopatrznie i pozornie może niewinnie wymówione słowa ponosimy wielką odpowiedzialność. Wróg wszędzie ma swoich szpiegów i wielu ludzi dla pieniędzy zaprzeda się w tę ohydłą służbę szpiegowską, — dlatego o tym, co się gdzie dzieje, co do nas pisano, gdzie są wojska, a gdzie ich nie ma, cośmy przypadkiem widziały, czy słyszały — nie mówmy, to tajemnica wojskowa, od której zależy powodzenie, czy niepowodzenie naszej obrony. Możemy wiele nieraz wiedzieć, ale zachowajmy to dla siebie i tej wstrzeźliwości słowa się strzeżmy i zaprawiajmy do niej naszą dźwiatwę i naszą młodzież, mówmy o tym naszym sąsiadkom i uświadomiamy je o tych naszych obowiązkach obywatelskich, a bądźmy pewne, że nasza ostrożność słowa (dyskrecja), nasza wstrzeźliwość pod względem mowy będzie wielką pomocą dla naszych władz, które dziś w poczucie odpowiedzialności za cały naród, za całą Polskę pracują, wyteżają swe siły, byle tylko nie zawieść pokładanych w nich nadziei i zaufania obywateli. Musimy tym władzom świadomie pomagać — i to w ten prosty, ale jakże doniosły sposób. — Tę praktycznie pojętą miłość Ojczyzny ćwiczy same, a ponadto nauczmy jej synów i córki nasze.

Uwaga: Punkt 4 tego artykułu niech każda nasza Czytelniczka omówi wśród swoich najbliższych, pouczy dzieci i młodzież, by nikomu obcemu żadnych nie dawały informacji, niech nauczają się zawsze w tych wypadkach odpowiadać: Nie wiem! — Zakład dzieci, by zwłaszcza za pieniądze tego nie czyniły, że właśnie szpieg pieniędzmi się posługują i żeby o takich ludziach natychmiast donieśli do sąsiada, czy policji, aby ich można było przychwycić. — Niech dzieci pamiętają, że kto nieznany chce im płacić za wiadomości — to wróg i trzeba cicho, ale natychmiast donosić o tym odpowiednim czynnikom, o których już było wspomniane.

(Artykuł ten umieszczamy na podstawie zarządzenia naszej centrali krajowej — Katolickiego Związku Kobiet — Zarząd K. S. K. w Tarnowie).